

Beata Worobiec

Prefekt

2015

*Prefektowi,
aby każdy poznał Twoją historię*

Prolog

Przeszywający wiatr nagle przypomniał sobie o obecnej porze roku. Dotąd było nadzwyczaj ciepło jak na połowę stycznia. Słońce nie szczędziło promieni, a jesienna kurtka w zupełności wystarczyła do ochrony przed chłodem. O śniegu nikt nawet nie myślał. Zima najwidoczniej wolała wybrać się do Egiptu. Nawet zjawiska pogodowe postanowiły omijać ten kraj szerokim łukiem. Nikt się temu nie dziwił. Skoro ludzie uciekali, to dlaczego pogoda miałaby tego nie zrobić? Tu żyło się gorzej z dnia na dzień. Każdy kolejny rok był zapowiedzią jeszcze większych problemów, a utrzymanie się za sumienną, rzetelną pracę zaczynało graniczyć z cudem.

Mężczyzna spojrział na miasto, którego nigdy nie lubił. Siedział na dachu nieskończonego budynku. Obiekt miał powstać kilka lat temu, ale w trakcie budowy firma zbankrutowała i pozostawiła po sobie kilka pięter opierających się jedynie na ścianach wewnętrznych. Na

obrzeżach konstrukcję podtrzymywały kolumny. Najprawdopodobniej według projektu budynek miał być w całości przeszklony. Teren ogrodzono, a wszędzie wokół rozwieszono informację o możliwości wykupienia tego, co miało stać się nowoczesnym centrum biznesowym. Choć własność prywatna była zwykle strzeżona i nikomu nawet nie wpadłoby do głowy, żeby ją naruszać, był człowiek, który nie baczył na zakazy. Lubił się tam włamywać. Czuł się jak ten budynek – niepełny. Nie miał w życiu fundamentalnego poczucia bezpieczeństwa. Kiedy patrzył w dół, widział dachy sąsiednich bloków. Im nie brakowało ani okien, ani elewacji. To samo odczuwał, kiedy patrzył na innych ludzi. Miał wrażenie, że ich życie jest dużo lepsze od jego marnego żywota.

W ostatnich miesiącach stronił od jakichkolwiek kontaktów. To nie był dobry czas w jego życiu. Wplątał się w przekręty, z jakimi nigdy nie chciał mieć styczności. Nikomu nie mógł zaufać. Najgorsze było nie to, że nie potrafił sobie poradzić, ale to, że nie miał osoby, której mógłby o tym powiedzieć. Otaczali go

ludzie, którym pomógł w drodze do spełnienia marzeń, ale zdawało się, że nawet nie doceniali tego daru. Nie mógł liczyć na cień wdzięczności, co z kolei rozbudzało w nim nienawiść. Nie do ludzi, ale do całego świata za niesprawiedliwość, jaka go dotykała. Zawsze starał się pomagać tym, na których mu zależało, ale kiedy sam potrzebował pomocy, nie było nikogo gotowego nadstawić karku.

Spojrzał w górę na zachmurzone niebo. Oparł głowę o kolumnę, poprawił lewą słuchawkę i przymknął oczy. Odnajdował w tym miejscu spokój, choć czasami doskwierał mu brak ścian. Zapiął kilka guzików, kiedy poczuł nieprzyjemny podmuch. Wykrzywił usta. Wymamrotał cicho parę przekleństw, bo zauważył, że popiół z papierosa zabrudził jego ulubiony czarny płaszcz. Ten element ubioru zaskarbił sobie jego przychylność głównie przez wysoki kołnierz, za którym mógł się schować. Był dla niego swoistym rodzajem kłapek na oczy, jakie zakłada się koniom – kiedy nie rozglądał się na boki, mógł skupić się na ważnych

sprawach. Nic nie było w stanie go zainteresować ani zdziwić.

Spojrzał na zegarek. Z słuchawek sączył się metaliczny dźwięk gitary. Nawet nie chciał, żeby ktoś lub coś go zainteresowało. Nie miał siły ani czasu na ludzi i relacje, jakie powinny między nimi zachodzić. Był idealistą i nie interesowało go coś, co miałoby być na pół gwizdka. Już niejednokrotnie próbował. Ostatnia kobieta oczarowała go od pierwszej chwili. Przez cały tydzień myślał tylko o niej. Zaczął się nawet uśmiechać! Niestety potem dopadła go rzeczywistość. Nie mógł dać jej tego, co chciałby jej dać, co jego zdaniem należało się takiej kobiecie. Przestał mieć dla niej czas, odsuwał się, żeby zbyt nie zaangażować emocji. Chwilami nie rozumiał, dlaczego w ogóle ona tak bardzo do niego łąnie, skoro nic jej nie dawał. Po dwóch tygodniach stracił zapał. Nawet kiedy chciał się z nią spotkać, był na to zbyt zmęczony. To nie mogło trwać dłużej. Powiedział, że nic dla niego nie znaczy, choć czuł, że jest idealna. Nie chciał jej narażać. Tak było lepiej dla niej. Wiedział, że pewnego dnia usiądą razem przy szklaneczce Grant'sa,

a on opowie jej, jak bardzo była dla niego ważna. Jak każdego dnia wstawał z nadzieją, że wszystko będzie dobrze i nikt nie zdoła tego spieprzyć. Jak morda cieszyła mu się na jej widok, jak czuł się przy niej tak swobodnie, jak była jego pierwszą myślą zaraz po przebudzeniu i ostatnią przed zaśnięciem. Jak w trudnych chwilach marzył tylko o tym, żeby się do niej przytulić. Nie wolno mu było zatrzymywać jej w swoim życiu. Zadawał się ze złymi ludźmi, więc nie mógł mieć słabości.

Dopalił papierosa i cisnął przed siebie petem. Nienawidził swojego kraju. Nienawidził tego, czym się stał. Nienawidził ludzi, z którymi się zadawał. Nienawidził wszystkiego wokół, a w chwili, kiedy stał na skraju budynku, nienawidził przede wszystkim tych cholernych wahań temperatury. Wiało przeraźliwie, za chwilę wychodziło słońce i człowiek nie wiedział nawet, jak powinien się ubrać. Wszystko było tak bardzo niewłaściwe.

– Jestem na to za młody. Przecież ja się na tym kompletnie nie znam – powiedział do pustej przestrzeni, jakby wiatr mógł mu odpowiedzieć. Wsunął zziębniętą

dłoń do kieszeni i raz jeszcze powrócił myślami do przekrętów jakie musiał robić, żeby zatrzymać pracę. Przypomniwał sobie słowa, które usłyszał kiedyś od ojca, a które były dla niego jedynym pocieszeniem:

„Cywilizacja rozwinęła się dzięki ludziom, którzy brali się za rzeczy, na których się nie znali”

Nie miał pojęcia, jak miałby się przyczynić do rozwoju cywilizacji swoimi czarnymi interesami, ale głęboko wierzył, że jego życie ma jakiś sens. Musiało mieć...

Część 1

Wyniki wszechstronnej analizy przedsiębiorstwa w konkretnym otoczeniu gospodarczym i społecznym są podstawową przesłanką wyboru i formułowania strategii marketingowej. Jedną z możliwości jest strategia konserwatywna, która oznacza unikanie i zmniejszanie przez firmę zagrożeń w otoczeniu rynkowym. Ukierunkowana jest na wykorzystanie atutów firmy.

„Mistrz sprzedaży”, 2012 r.

Rozdział 1

Nie wiem, gdzie powinna zacząć się ta opowieść. Ostatni miesiąc wypełniły mi rozmyślenia o tym. Chcę jak najwierniej przedstawić całą historię, a do tego potrzeba czasu. Całe życie za czymś gonimy, tracąc jednocześnie to, co dostaliśmy w momencie urodzenia – czas. Zamiast się nim cieszyć, usiłujemy dążyć do jakiegoś ideału, a każdy osiągnięty cel okazuje się zaledwie krokiem w stronę szczęścia. Tabloidy i reklamy wmawiają, że dany produkt da nam upragnione szczęście. Od małego powtarzają, że możemy osiągnąć sukces tylko podążając utartym schematem. Rodzice mówią: jak skończysz szkołę, będziesz szczęśliwy. Jak będziesz miał pracę, będziesz szczęśliwy. Jak wybudujesz dom, będziesz szczęśliwy. Jak znajdziesz żonę i wychowasz dziecko, będziesz szczęśliwy. To wszystko nieprawda! Nikt nie wskaże nam sensu życia – sami musimy go znaleźć. Namawiają nas do wiecznej gonitwy za czymś, co niejednokrotnie stoi na progu i czeka, żeby zostać

wpuszczonym. Mówi się, że za młodu człowiek jest najszcześniejszy, bo dzieci nie widzą problemów świata i oddają się beztroskiej zabawie. Szkoda jednak atramentu na spisywanie losów tego człowieka od momentu poczęcia. Niech wystarczy, że urodził się wśród ludzi, którzy go kochali, choć dzieciństwo nie było kolorową bajką. Mieszkał w małej miejscowości ulokowanej przy jednym z dopływów rzeki Osobłogi. Nie sprawiał problemów wychowawczych, pilnował się domu i dopiero po osiągnięciu pełnoletniości wyjechał za granicę do pracy. Po powrocie dostał się na studia i zamieszkał w większej aglomeracji. Przypadek sprawił, że w tym samym miejscu mieszkałam ja. Może właśnie od naszego pierwszego spotkania powinnam zacząć.

*

– Funkcja minus jeden przez iks nie jest malejąca na całej swojej długości. Zaczyna się w plus nieskończoności, a kończy w minus nieskończoności. Pomyślcie sobie, jaka to jest odległość! Taki spadek byłby gorszy nawet od upadku Dedala – powiedział profesor. Na jego twarzy rysowało się zacięcie

profesjonalisty, który łąknie zarazić swoją pasją wszystkich słuchaczy. Podobno nawet w nudny temat potrafił wpleść odrobinę humoru i uśmiechu, ku pokrzepieniu młodych, żądnych wiedzy serc. Choć z pozoru wyglądał na człowieka poczciwego, studenci doskonale znali prawdziwego profesora Kowalskiego. Nie należało z nim zadzierać. Zresztą nie było zbyt wielu osób, które odważyłyby się postawić komuś, kto ma prawie dwa metry i twarz rosyjskiego rzeźnika. Na wykładach panowała cisza. Co prawda większość studentów nie zwracała uwagi na przekazywane treści, bo każde zajęcie wydawało się dużo ciekawsze, ale porządek nigdy nie został zaburzony. Jedni po cichu o czymś dyskutowali, inni głowili się nad krzyżówkami, jeszcze inni przysypiali po kątach. Tylko nieliczna grupa skupiała się na słowach, a wśród nich jedna osoba miała na tyle samozaparcia, żeby wtrącić się w wypowiedź.

– Przepraszam. – Chłopak uniósł dłoń i cierpliwie czekał, aż zostanie zauważony. Odrobinę ścisnęło go w żołądku na myśl, że będzie musiał wyjść przed szereg. Nie należał do najodważniejszych, choć jednocześnie nie

potrafił siedzieć cicho, kiedy z ust osoby, która powinna być autorytetem, słyszał brednie. – Przepraszam – powtórzył.

– Proszę mi nie przeszkadzać. – Profesor zmierzył chłopaka wzrokiem zabójcy i tym subtelnym gestem przekazał mu, że ma się zamknąć. Nerwowo tupnął nogą, po czym wrócił do przerwane go wywodu.

– Wspomniał o upadku Dedala, a myślał chyba o Ikarze. – Mimo wszystko student odważył się wtrącić. Powiedział to jednak pod nosem, jakby nie chciał zostać usłyszany, skutkiem czego tylko najbliższej siedzące osoby dostrzegły sprzeciw.

– Dedal leciał za wysoko. Widzą państwo, to bardzo podobna sytuacja. Chciał wznieść się do słońca, które można nazwać dodatnią nieskończonością, a skończył na dnie, które można nazwać nieskończonością ujemną.

– Za przeproszeniem, coś się panu pomyliło.

Na chwilę wszyscy w pomieszczeniu zamarli. Kilka osób spojrzało na śmiałka ze zdziwieniem. Większość nie rozumiała, dlaczego w ogóle ktoś

przejmował się taką drobnostką. Nie było sensu przeciwstawiać się osobie, od której zależała ocena z przedmiotu. Skoro w jego wyobrażeniu Dedal spadał, to należało dać mu spaść i pilnować własnego nosa. Profesor najprawdopodobniej miał na ten temat podobne zdanie, bo zachowanie studenta go rozzłościło. Spojrzał na niego nieprzychylnym wzrokiem. Nie widział przeciwnika w wątłym chłopcu, który wyglądał, jakby jeden podmuch wiatru był w stanie go przewrócić. Ciemne oczka ledwo wystawały mu spod długiej grzywki, a Zbigniew Kowalski za nic miał ofiary, które nie potrafiły nawet spojrzeć mu w twarz, kiedy do niego mówiły.

– Dedal był twórcą skrzydeł, a Ikar był tym młodym, nierozważnym, który poleciał za wysoko – kontynuował chłopak. – Stąd też nawet frazeologizm „ikarowy lot”.

Profesor Kowalski miał ochotę pokazać mu prawdziwy ikarowy lot – prostą linią za drzwiami sali wykładowej. Nie zwykł słuchać jak poprawiają go

gówniarze. Słowa studenta pierwszego roku uznał za niestosowne, jednak starał się wyjść z sytuacji z twarzą.

– Imiona... tyle ich jest, że nie sposób spamiętać. Zresztą po co nam imiona, kiedy mamy liczby? Te nie zawodzą nigdy! – Uśmiechnął się fałszywie i wrócił do wykładu. Nie minęło jednak więcej niż dziesięć minut, kiedy niepokorny student znowu się odezwał.

– Profesorze, tam jest błąd. – Wskazał palcem tablicę. – W trzeciej linijce powinno być iks do kwadratu, a nie do potęgi czwartej.

Tego było już za wiele. Wytykanie niezgodności imion Kowalski był jeszcze w stanie przeżyć. W końcu nigdy nie pamiętał studentów, którzy przychodzili do niego na konsultacje i często ich mylił. Jednak wytknięcie błędu w działaniach matematycznych, które były jego domeną, potraktował jak potwarz. Niedopuszczalne, żeby smark go poprawiał. Pieprzona, rozwydrzona młodzież. Z każdym kolejnym rokiem było gorzej. Coraz mniej szacunku do autorytetów, za to więcej pychy i samouwielbienia.

Trzy razy dokładnie sprawdził równanie, ale w końcu musiał przyznać się do błędu. Chłopaka jednak zapamiętał. Nic nie działa tak pobudzająco na szare komórki, jak uderzenie w przerośnięte ego.

Tymczasem śmiałek, który zakłócił jeden z wykładów, miał w sobie wiele szacunku do starszych i mądrzejszych ludzi. Jednocześnie nie sądził, by jedno ściśle wiązało się z drugim. Wiek świadczył jedynie o tym, że człowiek przeżył więcej głupot i pomyłek, a z czasem po prostu nauczył się z nich tłumaczyć przed sobą i innymi. Na szacunek każdy musiał sobie zapracować. Jako młody człowiek nie oczekiwał pokłonów ani podlizywania się. Chciał tylko robić swoje i poświęcać się nauce, żeby zgłębić tajniki branży, w którą miał zamiar wkroczyć. Nie bawiło go hulaszczę życie większości studentów. Zaliczanie pańienek i wieczna zabawa nie były dla niego ani trochę interesujące. Nie uważał się też za alfę i omegę. Nie był mołem książkowym, który nie miał życia towarzyskiego, ale też nie pretendował do tytułu szalonego imprezowicza, witającego każdy nowy dzień z kacem.

Co prawda niejednokrotnie najpierw mówił, a później myślał, ale nie był przesadnie pewny siebie. Nie był też nie wiadomo jak nieśmiały. Opisując siebie, więcej rzeczy by zanegował niż sobie przypisał. Oscylował w granicach złotego środka. Był prostym, szarym człowiekiem, który nie chciał się wychylać. Wyglądem również starał się wpisywać w standard, ubierał się przeciętnie. Kiedyś nosił długie włosy, ale przyciął je przed studiami. Teraz były średniej długości i opadały mu na oczy, co często go irytowało. Był raczej drobny i chudy przez co wyostrzyły mu się rysy twarzy, a okulary korekcyjne dodatkowo pogłębiały ten efekt.

Starał się znajdować czas na wszystko. Przygotowywał się do zajęć, ale potrafił nawiązywać nowe znajomości i być duszą towarzystwa. Ludzie darzyli go sympatią, bo chłopak poza naturalną charyzmą, potrafił też zabłysnąć inteligencją. Wszędzie bywał, ale nigdzie nie był. Szybko dorobił się więc łatki człowieka, który zna wszystkich, ale jednocześnie nie przynależy ściśle do żadnej grupy. Jemu to nie przeszkadzało. Nie czuł potrzeby zacieśniania kontaktów

z kimkolwiek. Ludzie byli dla niego jak latawce na wietrze – kiedy byli blisko, cieszył się ich obecnością i bawił wraz z nimi, ale nie ubolewał, gdy odlatywali w inne miejsce. Wiedział, że świat jest pełen latawców i jeśli tylko zapragnie, będzie miał się z kim bawić.

Choć na co dzień był osobą bardzo radosną i pozytywnie nastawioną, zdarzały mu się chwile zadumy i rozważań nad sensem istnienia. Czasami nie rozumiał świata i miał wrażenie, że świat nie rozumie jego. Tak się działo chociażby na kolokwiach, kiedy dostrzegał, że jego znajomi zerkają pod ławki, albo w telefony, żeby na ściądze znaleźć rozwiązanie. Nie pojmował podobnego zachowania. Zastanawiał się jakich specjalistów wypuści później uczelnia. Jak tacy ludzie odnajdą się w pracy? Zdawał sobie sprawę, że zarządzanie wybierały w większości osoby, które nie wiedziały do końca, co chcą zrobić ze swoim życiem, ale sądził, że jako dorośli ludzie wszyscy studenci powinni przykładać się do swoich profesji. Śmiać mu się chciało, kiedy wyobrażał sobie, że na spotkaniu z klientem miałby pod stołem zaglądać w małą karteczkę, z której czytałby odpowiedzi. Chciał być

profesjonalistą i zadawać się z profesjonalistami. Wielokrotnie myślał o tym, że jeśli trafiłby na jednego ze swoich kolegów w przyszłości, to nie zostawiłby na nim suchej nitki. Zdarzały mu się też chwile zwątpienia, kiedy sam nie wiedział, kto jest mądrzejszy – on ze swoją żądzą wiedzy czy osoby, które nie przykładały wagi do niczego i szły beztrąsko przez życie. Często nie mógł uwierzyć, gdy okazywało się, że tacy ludzie zdobywali lepsze oceny od niego. Czuł się głupi wśród otaczających go cwaniaków. Oni zawsze potrafili się ustawić. Jak nie kupowali projektów, to znali zakres pytań, albo mieli gotowe odpowiedzi. On tymczasem stawiał tylko na zdobytą wiedzę. Wrodzona uczciwość nie pozwalała mu na oszustwa. Zwłaszcza, że uważał ściąganie za oszukiwanie samego siebie.

– Ej, masz trzecie? – szepnął do niego kolega z ławki.

– Mam inną grupę.

– Nieważne. Trzecie jest takie samo w każdej. Pokażesz?

Sąsiad sięgnął ręką kartki, która nie należała do niego. Piotr zacisnął pięść. Zawsze chętnie pomagał, ale nie lubił ludzi, którzy domagali się od niego pomocy, jakby uważali, że im się należy. Bezcelnie brali wszystko, czego chcieli i dostawali to, nawet jeśli nie zasługiwali. Zdenerwowała go taka swawola, ale nie zareagował. Nie chciał niepotrzebnie robić sobie wrogów. Wiedział, że lepiej utrzymywać ze wszystkimi przyjacielskie stosunki, bo każda znajomość może okazać się przydatna. Powiedzmy, że pomógłby komuś w tak drobnej sprawie jak odpowiedź na jedno z pytań, a potem okazałoby się, że ta osoba zna kogoś, kto dla przykładu ma możliwość tańszego wynajęcia mieszkania. Ludzie bywają użyteczni. Inna sprawa, że lubił pomagać i nigdy nie zostawiał potrzebujących bez wsparcia.

Rozwiązał swoje zadania i po cichu wyszedł z sali. Był z siebie zadowolony. Cieszył się, kiedy miał okazję do udowodnienia samemu sobie, że jest w czymś dobry. W dodatku zaraz za nim wyszło jeszcze dwóch znajomych, którzy zaczepili go przy szatni.

– Jak tam, Piotrek? Jak poszło? – zapytał kumpel, którego kojarzył z prawa handlowego. Obok niego stał ryży półgłówek w o rozmiar za dużej koszuli w kratę. Choć Piotr nie zwykł oceniać ludzi po pozorach, czasem nie mógł się powstrzymać. Od niektórych aż biło głupotą. W takich chwilach zastanawiał się, co ludzie tego pokroju robią w murach uczelni, która powinna łączyć ludzi światłych.

– Wydaje mi się, że nieźle. Pięć z siedmiu na pewno mam dobrze.

– No ja na pewno mam dobrze cztery, bo miałem identyczne w opracowaniu, które czytałem przed samym egzaminem, ale to z przewagą podaży nad popytem trochę mnie zagięło. Zawsze mi się to myli.

– To przecież banalne. Słuchaj, jak masz trwałą przewagę popytu nad podażą, to sprzedawca dyktuje warunki, a jak masz przewagę podaży nad popytem to klient jest w uprzywilejowanej sytuacji i następuje „ciśnienie” na rynku – wytłumaczył. Kolega zrobił minę, jakby bardzo mocno próbował to przeanalizować, ale odpowiednie tryby w głowie nie chciały mu zaskoczyć. –

Jakbyś miał z tym jeszcze jakiś problem, to wal śmiało – dodał.

– Dzięki, stary, ale tym będziemy się martwić jak zobaczymy wyniki. Zresztą to dopiero pierwsze koło. Na razie trzeba się odstresować. Dzisiaj u mnie. Wpadasz?

– Cześć, chłopaki! – Doskoczyła do nich drobna dziewczynka. Choć była ich rówieśniczką, nikt nie dałby jej więcej niż szesnaście lat. Dodatkowo efekt potęgowały blond loczki i delikatne rysy twarzy. – Rany, ale to było koszmarne. Wam też tak beznadziejnie poszło? Wymięklam przy czwartym, a potem było już tylko gorzej.

– Aż tak źle? – zapytał rudy.

– Nie wiem jak to się stało. Wczoraj całą noc wkuwałam! Następnym razem będę siedzieć nad książkami przez tydzień, albo dłużej, aż nie pocuję, że wykułam wszystko na blaszkę – zarzekała się.

– Spokojnie, może nie będzie tak źle. – Kolega z prawa poklepał dziewczynę po plecach.

– A daj spokój, chcę o tym zapomnieć. Pijemy coś dzisiaj? – zapytała z nadzieją. Oczka aż jej

błyszcząły, kiedy przyglądała się trzem chłopakom, z których każdy przyjaźnie się do niej uśmiechał.

– Właśnie pytałem Piotrka, czy dzisiaj do mnie wpada.

– Wpadasz? – Dziewczyna wbiła proszące spojrzenie w kolegę.

– Nie wiem, mam kilka rzeczy do zrobienia. Zobaczę, czy się wyrobię.

– No weź, wyluzuj. Jest piątek, weekendu początek! – Uśmiechnęła się i szturchnęła chłopaka w bok.

– No dobrze, dobrze, Kasiu. Postaram się – zapewnił.

– No, to widzimy się u mnie. Wpadajcie, o której chcecie. Ja się nigdzie nie wybieram, a współlokatorzy zaraz po zajęciach zawijają do mamusi. Piona!

Piotr z uśmiechem pożegnał znajomych, owinał się szalikiem i wyszedł z kampusu politechniki. Nie miał ochoty od razu wracać do mieszkania. Szedł spokojnym krokiem i zamiast wsiąść do autobusu, postanowił przejść się w kierunku rynku. Minał zatłoczoną ulicę i

skierował się na Ostrów Tumski. Przechodząc patrzył na zabytkowe mury katedry i jej szpiczaste wieże. Stał po starej kostce brukowej i uśmiechał się do mijanych ludzi.

Był nowy w mieście. Pochodził z małej miejscowości, dlatego migracja do Wrocławia była dla niego dużym krokiem. Fascynował go gwar, który był nieodłączną częścią każdej metropolii. Z podziwem przyglądał się nowoczesnym galeriom handlowym i zupełnie niepasującym do nich kamienicom. Odwiedził miasto kilkakrotnie i zwiedzał je, ale jako turysta nie był w stanie dostrzec całego jego uroku. Obejrzał tańczącą do muzyki fontannę, wszedł na wieżę katedry, obejrzał Panoramę. Dopiero kiedy się przeprowadził, zaczął zwracać uwagę na coś więcej. To miasto nie było jedynie zlepkiem zabytków i atrakcji. Gdzieś między murami i ulicami kryła się magia. Tu każdy szczegół, przypadkiem zasłyszany szept, albo uchwycone spojrzenie napawało go energią.

W centrum zawsze coś się działo. Jeśli nie było jakiegoś koncertu, to uliczni grajkowie umilali ludziom czas. Widząc ich, zawsze myślał o ukochanej gitarze,

która czekała na niego w mieszkaniu. Wiązał się z nią szereg szalonych historii, już od samego momentu nabycia jej. Choć na początku nie wierzył w opowieści człowieka, od którego ją kupował podczas pobytu za granicą, po kilku miesiącach z ciekawości zaczął szukać informacji. Okazało się, że takich gitar elektrycznych jest na świecie tylko kilka, bo powstały w limitowanej serii. To sprawiło, że cenił ją jeszcze bardziej i obchodził się z nią delikatniej niż z kochanką. Uwielbiał z nią romansować, co owocowało wieloma balladami, których nie powstydziliby się zawodowy muzyk. Jego cudo przypominało gitary Satrianiego, miało opływowy kształt i główkę ściętą przy kluczach. Uwielbiał gładki, grafitowy korpus swojego Ibaneza i gryf, który idealnie leżał w dłoni.

Dźwięk gitary zawsze wprawiał go w dobry nastrój, więc często zatrzymywał się przy muzykach i nawet jeśli nie miał drobnych, posyłał im pokrzepiający uśmiech. Zwykle mógł się doczekać odwzajemnienia gestu, po czym ruszał dalej. Mimo chłodu nie potrafił odmówić sobie spaceru. Przechodząc obok placu solnego

zatrzymał się i spojrzął na budkę z kwiatami. Jego wzrok przykuła jedna z czerwonych róż. Chwilę później trzymał ją już w rękach i diametralnie zmienił cel podróży. Postanowił odwiedzić osiedle, które co prawda było niemal na drugim końcu miasta, ale mieszkała tam pewna dziewczyna, która wygodnie usadowiła się w jego ciepłym sercu.

Weronika była koleżanką z politechniki. Nie studiowała zarządzania, ale wraz z innymi entuzjastami kreatywnych zajęć, prężnie działała w organizacjach studenckich, w których to Piotr ją wypatrzył. Od razu dostrzegł jej największe atuty. Wbrew pozorom, nie był to spory biust, na który zwracały uwagę wszystkie samce w okolicy. Dużo istotniejszy był sposób w jaki się poruszała. Kiedy mówiła o czymś przyjemnym, albo się śmiała, w kącikach ust robiły jej się urocze dołeczki. Według Piotra szczery uśmiech i duże, ciemne oczy, które otaczały długie rzęsy, były dużo bardziej kuszące niż typowe atrybuty kobiecości. Choć i tych oczywiście nie można było jej odmówić.

Wcześniej dziewczyny były dla niego czymś w rodzaju dobrej zabawy. Był w związkach, ale zbyt nie angażował. Dopiero poznając Weronikę odkrył w sobie potrzebę przywiązania. Wybranka serca oficjalnie miała chłopaka, ale to nie przeszkadzało Piotrowi, by regularnie przychodzić pod blok, w którym mieszkała. Chciał tylko, żeby zawsze czuła się doceniona i wspaniała, bo taka właśnie była w jego oczach.

Mieszkała na parterze, więc kładł róże na jej balkonie, uśmiechał się do własnych myśli i odchodził bez słowa. Nie chciał jej niepokoić. Wystarczyła świadomość, że ona wie, kto jest jej tajemniczym wielbicielem. Nigdy o tym nie rozmawiali. Raz tylko zapytała, czy kwiat był od niego, a on potwierdził. Nie ciągnęli dłużej tematu. Były ciekawsze rzeczy do omówienia, choć niejednokrotnie zatykało go, kiedy miał okazję z nią porozmawiać.

Piotr z niczym nie chciał się narzucać. Zostawił różę i dopiero wtedy wrócił do mieszkania. Typowe studenckie lokum o niskim standardzie zajmował wraz ze starszym bratem i jego znajomym. Zawsze dobrze się

dogadywali, więc atmosfera była niemal sielankowa. Mieli dwa pokoje, z czego większy należał do braci. Wnętrze utrzymywali w odcieniach brązu i beżu, a minimalistyczny wystrój przełamowały tylko porozrzucane manatki. Od wejścia dało się stwierdzić, że mieszka tam dwóch samców. Piotr miał swoje łóżko i biurko, na którym stał monitor wraz z dwoma głośnikami. Nie sądził, by wiele więcej było mu potrzebne do szczęścia. Nie zastanawiał się nad tym. Żył z dnia na dzień, snując marzenia o świetlanej przyszłości, w której będzie miał wszystko, czego tylko zapragnie i żadne zmartwienia nie będą mu spędzały snu z powiek.

Zamienił kilka słów z bratem, po czym zajął się własnymi sprawami. W międzyczasie jego telefon niemal nie przestawał dzwonić. Co chwilę ktoś chciał z nim o czymś porozmawiać, gdzieś go zaprosić, albo upewnić się, czy zaszczyca spotkanie swoją obecnością. Ten jednak nie miał zamiaru nigdzie wychodzić. Lubił spotkania ze znajomymi, czasem lubił się napić, ale prawdziwe ukojenie znajdował w swojej gitarze.

Kiedy został sam w mieszkaniu, chwycił swoją miłość w ręce, zamknął oczy i przez chwilę wsłuchiwał się w rytm bicia serca. Nie wiedzieć kiedy, melodia sama zaczęła się przelewać przez jego palce. Na twarzy miał wymalowane skupienie, a w duszy spokój. Nie był pewien, czy kiedykolwiek doświadczył w życiu czegoś piękniejszego. No, może poza możliwością wyjścia na fajkę tuż po stworzeniu nowej kompozycji.

Wyszedł przed blok, żeby zapalić.

Tymczasem tak się złożyło, że akurat wracałam od przyjaciółki i przechodziłam obok tego miejsca. Było ciemno, a ja byłam daleko od domu, więc szłam szybkim krokiem. Kiedy zobaczyłam sylwetkę palącego człowieka, spojrzałam na niego przez ułamek sekundy. Uśmiechnął się tak, jak śmieją się ludzie spełnieni, szczęśliwi. No i jak psychopaci, więc odruchowo przyspieszyłam, kiedy pomachał w moim kierunku.

I tak właśnie wyglądało nasze pierwsze spotkanie.